

O czternastej 27 grudnia 1998 roku rozpoczął się prawdziwy wyścig z Sydney do Hobart. W tym momencie wybuchła bomba pogodowa. Wiatr prądu strumieniowego runął z wysokości trzydziestu tysięcy stóp otwartym niespodziewanie szybem windowym – zapomnijcie o Coriolisie, ten wiatr po prostu runął – sprawiając, że już kipiąca Cieśnina Bassa stała się buzującą, kłębiącą się śmiertelną pułapką.

Bomba utrzymała się przez niemal czterdzieści osiem godzin. Na platformach wiertniczych na szelfie kontynentalnym na południe od wyspy Gabo zaobserwowano fale wysokości osiemdziesięciu stóp. Piloci helikopterów zarejestrowali przy pomocy wysokościomierzy i innych przyrządów fale o wysokości czterdziestu pięciu metrów – ponad stu trzydziestu pięciu stóp – w czarnej dziurze wyspy Gabo.

Gdy wiatr prądu strumieniowego spadł do poziomu morza, pędził na wschód, w poprzek cieśniny, w nieludzkim sojuszu z falami i prądem. Razem rozpoczęli polowanie na flotyllę. Razem rozpoczęli polowanie na ofiary.

O drugiej dwadzieścia razem znaleźli jedną.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Ciekące jachty

27 grudnia, 14.20

Czterdziestojednostopowy „Stand Aside” ze stanu Wiktoria odbywał rekordowy wyścig, a załoga cieszyła się myślą o zwycięstwie w czasie przeliczeniowym. Regularnie posuwali się z prędkością piętnastu do dwudziestu węzłów, wyprzedzając znacznie większe jachty. To dopingowało ich jeszcze bardziej. Wierzyli nieco lekkomyślnie, że to był ich rok. „Stand Aside”, zbudowany w Nowej Zelandii, został zaprojektowany specjalnie do wyścigów przy silnych wiatrach. I dzięki temu w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin przepłynął dwieście czterdzieści mil. W ten sposób znaleźli się głęboko w Cieśninie Bassa, gdzie napotkali pogarszające się warunki. Radość ze wspaniałej żeglugi sprawiła, że załoga straciła czujność.

O godzinie dziewiętej w niedzielny poranek na „Stand Aside” zredukowano grotżagiel do trzeciego refu. Teraz żagiel sięgał już ledwie do połowy wysokości masztu. Zniknął też mały sztaksel. A i tak płynęli z prędkością piętnastu węzłów, bez chybotania się czy wibracji.

Wiatr i fale obróciły się przerażająco. Załoga „Stand Aside” rzuciła grotżagiel i sztaksel, i jacht płynął tylko pod sztormowym kliwrem. Ograniczyło to zdolności manewrowe jachtu, ale dawało większą kontrolę, gdy znalazł się na wierzchołku fali. Fale były tak ogromne, że gdy „Stand Aside” spływał w dolinę, znajdował się całkiem poza zasięgiem wiatru. Kiedy jednak rozkołys ponownie unosił go do góry, sztaksel i trzykrotnie zarefowany grotżagiel szarpały w górę, łapiąc poryw wiatru. Wtedy jacht gwałtownie wystrzeliwał do przodu i załoga musiała niezwykle uważać, żeby łódź nie zaryła dziobem w następną falę i nie przekoziółkowała przez dziób. Kilka razy byli o włos od takiej sytuacji, ale udało się im uniknąć najgorszego. Euforia wywołana sukcesem w wyścigu z wolna zmieniała się w strach. Załoga „Stand Aside” miała raczej skupić się na przetrwaniu, a nie na tym, by dotrzeć do Hobart na pierwszym miejscu.

Kapitan James Hallion i nawigator Rod Hunter podjęli w końcu dwie pozornie mądre decyzje: po pierwsze, żeby zrzucić wszystkie żagle i płynąć dalej pod gołymi masztami. Po drugie, żeby zmienić kurs ze stu osiemdziesięciu stopni na sto czterdzieści stopni i żeglować nie wprost na południe do Hobart, ale na południowy wschód, w stronę Nowej Zelandii. Żegluga pod gołymi masztami oznaczała wystawienie „Stand Aside” na łaskę oceanu, gdyż bez żagli jacht nie miał napędu, który pozwalałby działać sterowi wydajnie. Próbując jednak sterować w stronę Nowej Zelandii i pozwalając wiatrowi pchać jacht w tamtym kierunku, uciekali przed sztormem. Kapitanowie mawiają w takich sytuacjach, że „szukają lepszego morza”. I rzeczywiście, Hunter był całkiem zadowolony z tego, jak zachowywał się jacht. Wiatr pchał go z prędkością czterech do pięciu węzłów, a świadomość, że uciekali przed sztormem uspokajająco działała na załogę. „To nie hańba żeglować w środku stawki. Ani trochę” – tłumaczył Hallion załozę, stojąc przy sterze i kryjąc twarz przed wiatrem. Próbował, bez skutku, jedną ręką głębiej naciągnąć kaptur na oczy.

Załoga zbiła się ciasno wokół niego w kokpicie. Wszyscy byli tak przemarznięci i przemoczeni, że nie zamierzali dyskutować z kapitanem na ten temat. To raczej o Hillionie można powiedzieć, że był rozzarowany. Wśród załogantów tylko dwudziestoosmioletni Simon Clark zachował jeszcze ducha rywalizacji i narzekał, że kapitan żegluje zbyt asekuracyjnie. Lecz w tym momencie Clark miał wachtę na dziobie. Wypatrywał fal i nie mógł słyszeć racjonalnych argumentów Hilliona.

„Wrócimy do tych radosnych chwil, jakich doznawaliśmy, wyprzedzając większe jachty, kiedy tylko sztorm osłabnie” – mówił. „To tylko kwestia czterech, może pięciu godzin”.

Pod pokładem Hunter przestał na moment obserwować przyrządy i kreślić na mapie kursy, żeby posłuchać seansu łączności o godzinie czternastej pięć. Podano zaktualizowaną nieco prognozę pogody. BOM poinformowało, że prognozowany wcześniej wiatr pięćdziesięciopięciowęzłowy nadszedł. A wraz z nim wysoki rozkołys. Hunter, jak wszyscy we flotyli, uśmiechnął się ponuro, słuchając tych nowin. Niezłe żarty! Wiatr nadszedł już bardzo dawno. A wysoki rozkołys był faktem już od północy. Kolesie z BOM powinni nauczyć się prognozowania, pomyślał. Bo przecież te ich „prognozy” nijak miały się do rzeczywistości.

Później centrum kontroli „Telstry” przekazało ostrzeżenie dla żeglujących wzdłuż brzegów Tasmanii, że nie działa latarnia morska na Wyspie Tasmana. Hunter zanotował tę wiadomość. Potem zaczęły się meldunki z jachtów. Na początku nie było już „ABN Amro Challenge”. W ten sposób reszta flotyli dowiedziała się, że łódź Iaina Murraya odpadła z wyścigu. Zgłosił się „Adagio”. Potem „Adrenalin”, „Alexander of Creswell”... jeden po drugim, jachty podawały swoje pozycje. Hunter notował wszystko skrzętnie. Później ponanosi to na mapę, żeby zorientować się, jak plasuje się „Stand Aside”.

...„Chutzpah”... Wciąż na pierwszym miejscu, ale płynął w kierunku Nowej Zelandii, jak „Stand Aside”. Interesujące... „Dixie Chicken”... to ten jacht, którym dowodziła dziewiętnastoletnia dziewczyna. Zawróciła i płynie w stronę Eden. Szkoda.

I tak dalej, według listy. „Inkeeper”, „Outlaw” i dwa tuziny innych jachtów wycofały się z wyścigu. W stawce zostało już mniej niż dziewięćdziesiąt łodzi.

Zabraknie miejsc w hotelach w Eden, pomyślał Hunter, czekając na swoją kolej. Ciekawe, gdzie oni wszyscy będą spać.

Ponieważ oficjalna nazwa „Stand Aside” brzmiała „VC Offshore Stand Aside”, znajdowali się niemal na samym końcu listy. Musicie poczekać, żeby poznać naszą pozycję, Hunter uśmiechnął się do siebie. Ciekawe, czy po seansie łączności ktoś jeszcze pójdzie w ślady

„Stand Aside” i „Chutzpah”, i skieruje się na wschód? Ludzie powinni dostrzec logikę takiego manewru. Tylko głupcy mogą żeglować w taką pogodę wprost na południe.

...„Midnight Rambler” ... żeglują na zachód, wprost w centrum niżu... Trzeba mieć jaja, pomyślał Hunter.

...„Midnight Special” ... „Miintinta” ... „Mirrabooka” ...

Hunter spojrzął na zegarek. Była druga dwadzieścia. Jeszcze raz sprawdził swoją szerokość i długość geograficzną. Nie chciał dukać czy wahać się, gdy będzie go słuchać cała flotylla. Porządek sesji został zakłócony przez zestresowanym kapitanów, którzy przerywali innym, żeby poinformować o wywrotkach i pomniejszych wypadkach. Dyscyplina radiowa jest jednym z fundamentów regat oceanicznych, tym razem w ogóle nie istniała. Hunter zirytował się – nawet w sytuacjach stresujących profesjonalizm musi kierować ludźmi.

Wraz z Hallionem wachtę pełniło ośmiu ludzi. Czterej pozostali chrapali stopę od Huntera. Gdyby nie sztorm i lęk przed kiwaniem się na łasce wiatru na wyjątkowo wzburzonym oceanie, wszystko było normalne. Nikt nie mógł nic zrobić. Zatem najlepiej po prostu przespać się.

Ktoś wymiotował. Hunter nie wiedział, kto. Świeży zapach wymiocin zakręcił mu w nosie, sprawił, że ścisnął mu się żołądek i zacisnęła krtań. Był zadowolony, że nie musiał na to patrzeć. Mogłoby to źle na niego podziałać.

Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk na górze. Wrzask raczej, stłumiony przez wiatr. Monstrualna fala wyrastała nad jachtem jak jakaś dziwaczna morska kobra. Hunter nigdy jeszcze takiej nie widział. I jak człowiek, patrzący w wąskie, czarne oczy kobry, pewien, że już nadchodzi śmierć, tak członkowie załogi „Stand Aside” na pokładzie patrząc na tę falę, robili w majtki i modlili się, w oczekiwaniu końca.

Nagle Hunter obrócił się głową w dół. Spadł z krzesła i uderzył głową w sufit. Do jego przedziału nawigacyjnego wdarła się zielona woda, jakby ktoś otworzył zawór wysokiego ciśnienia. Wart tysiące dolarów, najwyższej jakości sprzęt komputerowy zaiskrzył od krótkich spięć i stał się bezużyteczny. Mapy zostały zniszczone. Pogasły wszystkie światła na jachcie, gdy stanął generator. Zapanowała ciemność.

A „Stand Aside” obracał się i obracał. Jak beczka na wodospadzie, zabawka oceanu. Zielony kolor wody wskazywał, że był to „dziad”, fala wyrastająca z samego dna, niosąca zielone algi. Ocean jest zawsze czarny i biały, z wyjątkiem takich anomalii pojawiających się nie wiadomo skąd, jak diabełek z pudełka. I naprawdę przychodzą nie wiadomo skąd. Pływająca Cieśnina Bassa sprawia, że występują tutaj pionowe prądy powodujące wypieranie wód powierzchniowych oceanu spływających z kontynentu, z zimniejszymi wodami głębinowymi spychanymi na północ z Antarktyki. Podnoszenie się oceanicznych wód głębinowych występuje nieregularnie i nie da się przewidzieć. Hunter słyszał wiele historii o ludziach, którzy odpięli pasy asekuracyjne w czasie złej pogody, gdyż byli przekonani, że jest bezpiecznie, i zostali zmyci za burtę „dziadem”, który pojawił się zniemacka. „Dziady” są zazwyczaj większe i wyższe niż normalny rozkołys, który – nawet wysoki – daje się przewidywać.

W tym samym momencie, gdy Hunter i „Stand Aside” wirowali w oceanie, „Sword of Orion” meldował swoją pozycję. Radio na „Stand Aside” było zniszczone, dlatego Hunter nie mógł usłyszeć Roba Kothe'a, który zrobił coś niespotykanego dotąd podczas seansów łączności. To było coś znacznie większego. Indywidualista złamał tradycję, żeby udzielić

humanitarnego ostrzeżenia. Podawszy szerokość i długość geograficzną, Kothe postanowił powiedzieć pozostałym o pogodzie. Pal sześć taktyczne sztuczki, chciał ratować życie innych.

– Nie spodziewamy się wiatru, o jakim mowa w prognozie – zaczął spokojnym tonem. – Spodziewamy się pięćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu węzłów, a być może nawet siedemdziesięciu.

.....

Kiedy Kothe przekazał wiadomość do centrum kontrolni „Telstry” na „Young Endeavour”, zapanował zamęt. Nikt nie wiedział, czy należy odpowiedzieć na oświadczenie Kothe’go, czy raczej przejść do porządku dziennego nad wybrykiem indywidualisty i nadal odbierać meldunki od kolejnych jachtów.

Radiooperator Lew Carter, człowiek zwykle raczej nieśmiały, potrzebował mniej niż pięć sekund, żeby nieoficjalnie wziąć wyścig w swoje ręce, robiąc to, czego nie zrobili ani CYCA, ani BOM, ani AusSAR, ani marynarka wojenna, powiedział flotylli, że pora wracać do domu. Jak najszybciej. Przekazał meldunek Kothe’go wszystkim, którzy jeszcze go nie usłyszeli. Potem Carter przeczytał Przepis 7.4 „Przepisów Regatowych Żeglarstwa” i przypomniał kapitanom, że to na nich spoczywa odpowiedzialność za decyzję, czy kontynuować udział w wyścigu, czy przerwać go.

Dwadzieścia dwa jachty usłuchały i zawróciły do Eden. Wśród nich był też „Midnight Special” z bardzo nerwową załogą z Queensland. Jednak większość kapitanów uznała, że znaleźli się już zbyt głęboko w Cieśninie Bassa, żeby zawrócić, oraz, że taka pogoda potrwa jeszcze najwyżej kilka godzin. Postanowili walczyć dalej.

Tymczasem „bomba” upomniała się o następną ofiarę. „Team Jaguar” został obrócony i pozbawiony masztu. Po wyrwanym maszcie została w pokładzie wielka dziura. Jachtem tym płynęła Melissa McCabe, osiemnastolatka z Eden, która wygrała udział w regatach w konkursie na esej. W długiej historii „Team Jag” był to drugi przypadek utraty masztu. Telefony satelitarne na pokładzie jachtu okazały się bezużyteczne. Zostały zaprogramowane w taki sposób, że obsługiwały tylko połączenia przychodzące. Dlatego sygnał „Mayday” mógł być wysłany jedynie przez radio. Kamera telewizyjna na jachcie zarejestrowała załogę leżącą pod pokładem na stercie niepotrzebnych już żagli. Melissa leżała bez słowa między dwoma mężczyznami i przez otwartą zejściówkę patrzyła w górę na stalowe niebo. Myślała o mamie i tacie i przypominała sobie, ile godzin poświęciła na doszlifowywanie zwycięskiego eseju. Wracała do tekstu przynajmniej pięćdziesiąt razy, żeby dobrać każde słowo tak, by jurorzy dowiedzieli się, jak bardzo zależało jej na wygranej. Przez całe życie oglądała statki zniszczone przez złą pogodę chwiejnie wpływające do Eden i oglądała w telewizji, w programie „Today Show”, wspaniałe statki, które nietknięte złą pogodą, pędziły obok Eden w drodze na ocean. Jak to się mogło stać, że zaszczyt startu w regatach Sydney–Hobart 1998 roku w ciągu jednego dnia stał się wątpliwy i niebezpieczny? Jak to możliwe, że coś tak wspaniałego jak jacht maxi – ten statek marzeń – zostało zniszczone w tak krótkim czasie?

Melissa nie była jedną z tych dziewczyn, które marzyły o wyrwaniu się z Eden. Chciała tylko żyć pełnią życia, posmakować przygód i podróży. A teraz, przemoczona przez oceanicznego „dziada”, który wdarł się pod pokład przez nową wyszczerbioną paszczę w kadłubie, zatęskniła za bezpieczną zatoką Twofold, której klify mogła podziwiać godzinami. I za spokojnym życiem małej miejsciny Eden, gdzie bycie początkującą pisarką nie znaczyło nic

– i tak większość mieszkańców wcześniej czy później kończyła na łodzi rybackiej albo w tartaku lub w branży turystycznej. Tak więc podskakiwała na mokrym, szorstkim worku na żagle, gdzieś na wschód od Eden i czekała na odholowanie do domu.

Na poszukiwanie „Team Jag” i Melissy wysłano z Eden kuter rybacki. Na pokładzie „Young Endeavour” Lew Carter poświęcił pełne zaangażowania godziny na próby dostrojenia się do marnie funkcjonujących telefonów satelitarnych. Jego rozmowy ze statkiem rybackim w czasie piętnastogodzinnych poszukiwań „Team Jaguar” skutecznie zakłóciły łączność radiową SAR, gdy inne jachty były w znacznie większej potrzebie niż „Team Jag”.

Tymczasem „Stand Aside” wciąż się obracał. Hunter został uwięziony w ciasnym przedziale nawigacyjnym, w samym środku chaosu. Rwąca woda, zanurzenie, zawrocie wiatru (Dlaczego słyszał go tak wyraźnie?), gulgocące krzyki, głucho uderzenia ciał o kadłub i przekonanie, że lada moment ostre, metalowe krawędzie sprzętu nawigacyjnego otworzą mu czaszkę i pozbawią go przytomności na długo. Próbował wypłynąć, ale nie dał rady, tak jak i trzej inni uwięzieni pod pokładem. Jakby próbował pływać w pralce. Przy każdym ruchu do przodu wirowanie rzucało nim o gródź, koję, zejściówkę, kingston. Kiedy wreszcie wirowanie ustało, jacht stał prosto. Nad pokładem hulał wiatr, a nie woda.

Mężczyźni na „Stand Aside” byli raczej powolni. Powiedzieć o nich „wysportowani” byłoby sporym nadużyciem. Czterej pod pokładem dyszeli ciężko, powoli brodzili w stronę schodków i ciężko wspinali się do kokpitu. Zazwyczaj wychodzenie z zejściówki oznaczało porzucenie bezpiecznego wnętrza nadbudówki. Ale nadbudówki już nie było. Zerwana, odpłynęła. Bładoszara poświata skąpała Huntera. Lecz żadnego z jego ośmiu kolegów, którzy byli na pokładzie, kiedy jacht się przewrócił, nie było widać. Hunter poczuł, jakby znalazł się na statku widmie.

Nagle, poprzez zawrocie wiatru, Hunter usłyszał wołanie o ratunek. Potem następne i jeszcze jedno. Głosy dobiegały z oceanu. Podczołgał się do miejsca, gdzie jeszcze niedawno był reling i ujrzał najbardziej niezwykły obraz w swoim życiu: swoich kolegów gwałtownie kopiących w wodzie. Przypięci pasami asekuracyjnymi wykonali razem z jachtem obrót pod wodą. A teraz, oszołomieni, ubrani w ciężkie od wody ubrania i kalosze, nie mieli siły wciągnąć się na pokład. Złamany maszt leżał w wodzie tuż obok nich, a pozrywane liny wiły się jak makaron.

Hunter zaczął wciągać ich na pokład. Każdy wydobyty z wody dokładał kolejne fragmenty do historii wywrotki. Krzyk, który usłyszał Hunter, pochodził od Simona Clarka, który siedział na dziobie po prawej stronie. Z nogami za burtą wypatrywał fal, kiedy „dziad” wystrzelił przy burcie. Clark ma swoją teorię na temat fal wyjątkowych: że występują parami. Kiedy zauważył wyraźny zielony sygnał, przeraził się.

„Odpadaj!” – wrzasnął ile sił w płucach. Od krzyku zabolą go krtań. Jakby ktoś przeciągnął po niej pilnikiem. Tak głośno krzyczał. Ale kapitan Hallion nie mógł usłyszeć go przez wycie wiatru.

Clark wrzasnął ponownie. Potem odwrócił głowę ku wznoszącej się nad nim fali. „Ta fala – pomyślał – jest jak postawiony na sztorc kort tenisowy”.

Hallion i tak dostrzegł „dziada”. Nie był w stanie ustawić jachtu dziobem do fali. Patrząc więc w przerażeniu, jak kort tenisowy wypluwa nagle w górę wysoką na piętnaście stóp ścianę wody, z białą grzywą na górze. Biała woda zawinęła się i załamała. Wtedy „Stand Aside” przekoziółkował, najpierw wessany przez czoło fali, a potem wystrzelony przez jej

grzywę. Surferzy nazywają to jazdą pod wodospadem. I takiego właśnie spadania z wodospadem doświadczyli żeglarze ze „Stand Aside”.

Clark został rzucony twarzą do oceanu. Miał wrażenie, że rozerwało mu kolana. Potem miał dowiedzieć się, że doznał zerwania przedłużonych więzadeł krzyżowych. Takich urazów często doznają zawodowi sportowcy. Leżą wtedy na ziemi, jęcząc, czekając na nosze.

Nikt nie pobiegł po Clarka, by zabrać go na łódź. Pływał na plecach przy burcie, dopóki Hunter go nie wyciągnął. Wtedy młody obserwator fal z przerażeniem zauważył, że nie może stać.

Daleko poza zasięgiem Huntera, nie dając rady doплыnąć do jachtu, Mike Marshman, dzielny, korpulentny ojciec trójki dzieci z Adelajdy, szamotał się na końcu linki. W czasie wywrotki zerwało mu opuszki palców prawej dłoni – tak objawiła się potęga fal, gdy lecąc za burtę, zaczepił dłonią o coś ostrego. Marshman był dwadzieścia metrów od jachtu. Zaczął sam się podciągać, gdy nagle jego linka asekuracyjna zaplątała się w takielunek. Zaklął i gorączkowo próbował się oswobodzić. Wtedy załamała się nad nim kolejna fala, odpychając go od jachtu. Całe życie przeleciało mu przed oczyma. Nieme obrazy urodzinowych uroczystości, kochanych osób i jeszcze żal, i pokorna akceptacja.

Nikt nie mógł pomóc Marshmanowi.